

16.02.2017

STANISŁAW BEDNARSKI

Historia uczestnictwa Bronisława Bednarskiego żołnierza 4 PAL z Inowrocławia w kampanii wrześniowej i bitwie nad Bzurą

Podejmuję się spisania relacji o żołnierzu września 1939. Pisanie moich relacji zaczynam o 20–30 lat za późno! Niestety, uczestnik kampanii wrześniowej, Bronisław Bednarski, 11 czerwca 1991 roku odszedł – można powiedzieć, śmiercią naturalną – do Pana. Jest rok 2017. Mam jeszcze to szczęście, że wdowa po Bronisławie – Regina Bednarska (moja matka) – żyje do dnia dzisiejszego (luty 2017). Mam nadzieję, że dobry Bóg zachowa ją jeszcze na długo wśród nas i będę mógł skorygować moje zapiski. Regina Bednarska otrzymała Złoty Medal „Za zasługi dla obronności kraju” dawno po śmierci jej męża Bronisława, który jest także dla niego, niestety, ale o 20 lat za późno.

Próbuję spisać wspomnienia o Nim, więc:

Tak mi dopomóż Bóg!

Już od dawna spisywałem sobie zapiski, wiadomości przekazane przez mego ojca. Mam na myśli kocioł pod Sochaczewem i klęskę nad Bzurą. Obecnie zacząłem zaglądać do Internetu i natknąłem się na piękne opracowania dotyczące **bitwy nad Bzurą**. Z wielkim niepokojem i zaciekawieniem zacząłem szukać śladów mego / naszego bohatera znad Bzury. Niestety, nie znalazłem

mego ojca **Bronka**. Mogę mieć żal do świata, że o maluczkich się zapomina, zostają pominięci przez historię. Mam żal do siebie, jak i do mojego licznego rodzeństwa, że jest ich aż siedmioro, ale nikt nie podjął się próby upamiętnienia naszego ojca. Mam też i pretensję do siebie samego, że przespałem te ostatnie 30 lat. Ale mimo wszystko, dzięki Bogu, ojciec nasz żył dość długo i nieraz opowiadał o swoich dziejach. Gdyby wtedy były zapisane przeze mnie, dziś byłyby jak znalazł. Mądry człowiek po szkodzie...

Fragment mojego opowiadania – wspomnienia o Bronku

Bo choć był piękny jesienny zachód słońca, jadąc musiałem uważać na drogę. Myślami jednak powracam dalej, na pole walki. Oczyma wyobraźni widzę lunę pięknie zachodzącego słońca nad Sochaczewem. Ale to nie luna zachodzącego słońca mnie tak oślepia. To Sochaczew płonie jak wielka pochodnia, a tutaj wokoło sterczące zwały żelastwa, coś jakby armaty, działa. Tak, to kiedyś był 4 PAL Kujawski z Inowrocławia. Był, bo zostały tylko poszarpane od wybuchów bomb ogromne leje, morze krwi i poszarpane żelastwo. Rozszalałe, obłąkane od wybuchów konie po utracie jeźdźców rozbijają się o drzewa, jakoby nie było już dosyć nieszczęścia. Szrapnele, wyjące w powietrzu jak wataha wilków, dopadają swe ofiary. Nad tym rumowiskiem żelastwa, ludzkich ciał i koniny, anioł śmierci zbiera swoje żniwo. Widzę, jak młody żołnierz trafiony szrapnelem spada z konia i oszalały z bólu pełza gdzieś w pobliże kartoflisko. Takie myśli nabiegły mnie, gdy dwa tygodnie wcześniej po raz pierwszy przejeżdżałem przez te okolice i niespodziewanie zobaczyłem napis „Sochaczew”. Wyobrażałem sobie leżącego rannego, młodego kaprała, polskiego żołnierza, leżącego na polu i bezsilnego, na przemoc, jakiej doznał. Po kilku godzinach po polu bitwy będzie przetaczało się „Toten Komando” – komando śmierci – wyszukując jeszcze żywych i rannych żołnierzy, aby strzałem z pistoletu ulżyć im w cierpieniu. Pomyśleć

można, jak oni o wszystko starają się zadbać, nawet rannym udzielają pierwszej pomocy, choć tylko doraźnej, bo kula w łeb. Ranny kapral Bronek widzi nadchodzącego oficera niemieckiego wraz z adiutantem, bełkoczącym w niezrozumiałym niemieckim języku. Po akcencie można było wyczuć, że był to węgierski lekarz wcielony do armii niemieckiej.

– A co z tym kapralem, Herr Major, no, tym, który leży tam w kartoflisku, jest ranny w rękę?

– Laszlo, Ich habe schon hundertmal zu Dir gesagt, wir Deutschen brauchen nur gesunde Arbeitskräfte, Kranke und Invaliden, sind für uns nur eine Last. Der Krieg ist schon vorbei, wir haben schon gewonnen. Erschieß ihn, sonst mache ich das selbst, verstanden?

– Herr Major, er ist nur leicht verwundet und er kann noch brauchbar sein für unser Reich. Wir werden viele Arbeitskräfte in Osten brauchen und er wird sicher bald gesund werden.

– Laszlo, Ich habe dies schon oft gehört, dass ihr Ungarn und Polen wie Brüder seit, ich höre ständig diese Redewendung, Ungar und Pole, zwei Brüder... und so weiter...

– Ja genau, diese Redewendung gibt es wirklich, aber nicht deswegen brauchen wir ihn, schick ihn ins Lazarett nach Sochaczew, wir werden ihn sicherlich noch brauchen.

I tak węgierska dusza, jak na razie, uratowała swego prawie brata od pewnej kuli. Następnie zbierano tych, co w przyszłości mogą jeszcze służyć Rzeszy, do lazaretu. Był to budynek szkoły w Sochaczewie, zamieniony na wojskowy lazaret. W środku budynku pościelono trochę słomy na podłodze i tam rzucono tych wszystkich rannych razem na ten barłóg. Oczywiście, panował ogromny chaos, brak personelu i środków opatrunkowych. Wielu leżało tutaj już od kilku dni. Obrzydliwy fetor rozkładających się żywych trupów, ranni żołnierze byli pozostawieni tylko sami sobie. Czasami tzw. dobrzy ludzie przychodzili dokarmiać głodujących rannych. Ale oprócz strawy potrzebne były opatrunki,

lekarstwa i personel medyczny. Niemcy nie byli zainteresowani uzdrawianiem polskich żołnierzy, przecież wojnę już wygrali. Kto się wyliże, będzie żył, a reszta, no cóż, nam Niemcom oni są niepotrzebni, niepracujący zjadacze chleba. Sytuacja była tragiczna, beznadziejna, przekraczająca ludzkie siły. W tym całym morzu cierpienia znaleźli się tzw. dobrzy ludzie, myślący trzeźwo i do przodu. Zdawali sobie sprawę, że jeśli ktoś wydobrzeje, zostanie wysłany do stalagu, jenieckiego obozu dla żołnierzy. Ale obozy te nie były jeszcze gotowe, więc grano na czas. Jedna z wolontariuszek, jakaś Pani „Dziedzic” z okolic Sochaczewa^{*}, zainteresowała się Bronisławem:

– Słuchaj, jak masz na imię, młody człowieku?

– Bronek.

– W następnych dniach Niemcy mają was wywieźć do stalagu, w głąb Niemiec. Sam widzisz, że na pomoc nie masz co liczyć. Wczoraj chcieli tobie amputować tą rękę. Ale ty możesz chodzić, więc jeszcze dziś w nocy uciekaj, bo jutro będzie już za późno. Skąd pochodzisz?

– Jestem z Kujaw, okolice Piotrkowa Kujawskiego.

– Wiesz, mam znajomego, który może ci pomóc dostać się do Inowrocławia.

– Och! Inowrocław to dobre miejsce. Tam mieszka moja rodzina ze strony ojca, siostry syn.

– Słuchaj, Bronek! My tutaj nie wiemy, jak długo Niemcy zechcą tolerować moje wizyty. Jeszcze dziś w nocy musisz opuścić to miejsce. Dziś, nad ranem za rogiem ulicy będzie czekał na Ciebie mój człowiek z furmanką, która zawiezie Ciebie na dworzec kolejowy i pociągiem dojedziesz do Inowrocławia. Dalej niech Cię Bóg prowadzi.

– Dziękuję serdecznie, Jaśnie Pani „Dziedzic”.

– Tak, to już dziś w nocy. Tylko nie prześpij okazji. Niech Cię Bóg poprowadzi bezpiecznie do domu.

^{*} Jak się niedawno dowiedziałem, była nią najprawdopodobniej Halina Garbolewska (1883–1969) z pobliskiego dworu Czerwonka, pełniąca funkcję Pełnomocnika P.C.K. na Pow. Sochaczew.

– O, tak! W Inowrocławiu mam rodzinę. Dam sobie radę.

– Powodzenia, Bronek! I nie dziękuj. Jesteś młody i musisz żyć.

Tak się i stało. Nad ranem skok przez okno i podróż do Inowrocławia. Dalej wuj Kazubowski zorganizował konną powózkę i tak Bronek dotarł do domu w Karsku. Było już bardzo zimno, koniec października. W domu oczywiście wielka radość i zarazem strach, co powiedzą Niemcy, jak jego zobaczą. Ale jakoś w rodzinnym domu rana zaczęła się lepiej goić, powoli siły i zdrowie również powracały, choć koszmar kontuzji nie dawał jemu jeszcze długo spać po nocach i towarzyszył jemu przez całe życie.